

Z cyklu: Sylwetki psychoterapeutów

KAŻDY MA PRAWO DO MIŁOŚCI, WOLNOŚCI I ODMIENNOŚCI

ROZMOWA Z ROMĄ ULASIŃSKĄ

Wanda Szaszkievicz: Zdałam sobie sprawę, że ostatnio przedstawiam sylwetki psychoterapeutów, którzy — chociaż zaliczają się do określonego nurtu psychoterapii — to jednak widzą i rozumieją człowieka w szerszym kontekście, w związku z tym sięgają w pracy swojej do różnych paradygmatów, integrując je w zależności od potrzeby konkretnego pacjenta, pary czy rodziny. Myślę, że jesteś przykładem terapeutki, która, będąc zorientowana systemowo, porusza się jednak swobodnie również na gruncie innych nurtów psychoterapii. Przeczuwam, że nie wynika to tylko z rzetelnego wykształcenia w psychoterapii, ale także osobistych preferencji wynikających z doświadczeń. Zacznijmy jednak od początku: skąd się u ciebie wzięło zainteresowanie psychologią?

Roma Ułasińska: Zaczęło się dość wcześnie. Znalazłam ostatnio swój pamiętnik z czasów szkolnych, w którym były pytania z cyklu: „Co lubisz, jaka jest twoja ulubiona książka, ulubiony film, jaka będzie twoja przyszłość?”. I na to ostatnie odpowiedziałam: „psychologia”. Przypominam sobie, że zainspirowała mnie audycja radiowa, w której były poruszane kwestie psychologiczne. Drugi powód zainteresowania psychologią to zapewne moja sytuacja rodzinna, gdyż jestem najstarszym dzieckiem w rodzinie, mam dwie młodsze siostry, a najmłodsza z nas jest osobą z niepełnosprawnością. Stąd rozmowy w domu krążyły wokół tematów psychologicznych, gdy jeszcze byłam w szkole. Nie od razu zdawałam jednak na ten kierunek studiów, bo uważałam, że nie mam szans. Liceum ukończyłam w Zakopanem, a ponieważ interesowałam się literaturą i czytałam książki niemieckojęzycznych pisarzy, Kafki, Hermana Hessego, Maxa Frischa, postanowiłam zdawać na germanistykę. Wydawało mi się, że jeśli mam jakieś zdolności, to właśnie językowe. Niestety nie dostałam się na studia. Aby lepiej nauczyć się języka, pojechałam do NRD — pracowałam w fabryce dętek przy ich produkcji. Miałam wtedy 18 lat. Było to w Saksonii, gdzie mówi się trochę innym niemieckim, więc plan wyszlifowania języka się nie powiódł. W dodatku przebywałam głównie w towarzystwie polskich robotników, co dodatkowo rzecz utrudniało. Ale mimo to zyskałam pewną swobodę w rozmowie po niemiecku. Była też inna duża korzyść z tej podróży, bo przywiozłam sobie stamtąd dwie bardzo potrzebne rzeczy, a mianowicie aparat fotograficzny Prakticę i maszynę do szycia. Jak wiesz, nie było wtedy sklepów sieciowych i ciuchy się samemu szyci, przerabiało, farbowało, żeby modnie wyglądać. Z kolei dzięki Praktice zaczęłam robić zdjęcia. Pasję tę pewnie przejęłam po ojcu, który również zajmował się fotografowaniem i obróbką zdjęć. Do dziś bardzo lubię to robić.

Po powrocie nastawiłam się na zdawanie na wymarzoną psychologię. Podeszłam do tego poważnie, bardziej już świadomie, czytałam dużo i się udało. W międzyczasie podjęłam pracę w czytelni Empiku, gdzie wypożyczałam chętnym, za pozostawieniem dowodu osobistego, zagraniczne czasopisma, takie jak Paris Match, Elle, Der Spiegel czy Le Figaro. To było kultowe miejsce w Zakopanem, w Domu Turysty. Była tam bardzo dobra kawa (nie tak łatwo dostępna w tamtych czasach) oraz cisza, warunki sprzyjające do czytania pism, z których chętnie korzystałam.

W.Sz.: To, co mówisz, potwierdza moją opinię, że jesteś osobą bardzo wszechstronną, która potrafi i może robić różne rzeczy. Taką, która się nie boi pracy, otwiera się na nowe wyzwania. I to nie tylko dla siebie, ale także, gdy trzeba, podejmuje wysiłek, aby komuś pomóc, zastąpić w pracy, coś zorganizować. Wiele razy byłam świadkiem, jak chętnie i bez ceregieli podejmowałaś się takich aktywności. A z kolei ta łatwość w opanowaniu języka wynika u ciebie nie tylko ze zdolności, ale też chęci porozumienia się, dogadania, zrozumienia drugiego człowieka. Pamiętam, jak przyjechał do Krakowa Hugh Jenkins, który uczył nas, jak uczyć terapii rodzin. Tygodniowy warsztat był prowadzony po angielsku, bez tłumacza i kto chciał wziąć w nim udział musiał na zakończenie przygotować wybrany moduł szkoleniowy po angielsku.

R.U.: Tak, rzeczywiście. Nigdy regularnie nie uczyłam się angielskiego, ale bardzo mi zależało na tych zajęciach. Pod koniec tygodniowego warsztatu trzeba było poprowadzić szkolenie po angielsku i zrobiłam to! Byłam trochę zawstydzona swoją językową nieporadnością, więc na koniec obiecałam sobie, że wezmę się rzetelnie za angielski. Słyszał to Przemek Dawidowski, który, wychowany w Nowej Zelandii, świetnie mówił w tym języku, i stwierdził, że nie muszę realizować przyrzeczenia, bo „uczę się przez osmozę”.

W.Sz.: Wracając do początku studiów, które podjęłaś w Krakowie — jak się tu znalazłaś, gdzie zamieszkałaś po przyjeździe z Zakopanego?

R.U.: Zamieszkałam w Mydlnikach, gdzie był mój dom rodzinny, gdyż mój dziadek ze strony taty trafił tam po wojnie i został dyrektorem szkoły. Tam poznali się moi rodzice. Ponieważ mój ojciec był architektem, a jego teść murarzem, rodzice nadbudowali sobie piętro nad domem dziadków macierzystych. Były wtedy takie czasy, że nie było tam kanalizacji, nie dojeżdżał miejski autobus. Mama bardzo chciała się uniezależnić od swoich rodziców. Rodzice liczyli, że „dostaną” mieszkanie, mieli nawet jedno obiecane na Grzegórkach. Ale tato nie należał do partii, nie był przebojowy i obietnica okazała się bez pokrycia. Wyjechał wtedy do Płocka, gdzie budowała się Petrochemia i liczył, że tam otrzyma przydział na mieszkanie, ale znów spotkało go rozczarowanie. Mama znalazła ogłoszenie, że jest poszukiwany inżynier budownictwa w Zakopanem i w ten sposób tam się znaleźliśmy.

W.Sz.: A ja dotychczas myślałam, że właśnie stamtąd pochodzisz, gdyż tak pięknie i charakterystycznie dla tego regionu śpiewasz góralskie przyśpiewki. Najwyraźniej twoja „nauka przez osmozę” dotyczy nie tylko języków obcych. Masz doskonały słuch, a do tego dochodzi jeszcze temperament. W każdym razie w końcówce lat siedemdziesiątych przyjechałaś do Krakowa na studia psychologiczne na wydziale filozoficzno-historycznym na UJ. Jak ci się na nich wiodło? Jak się w owych czasach studiowało?

R.U.: Czytało się głównie teksty rozproszone, nie było wtedy wielu podręczników, poza jedynie obowiązującym dwutomowym podręcznikiem prof. Włodzimierza Szew-

czuka, który należało przyswoić. Nie zrobiłam tego z należytą uwagą, trochę z przekory i kontestacji. Egzamin oblałam. Uznałam wtedy znów, że się nie nadaję na psychologię, chociaż do studiowania w ogóle podeszłam bardzo ambitnie, dużo czytałam, przesiadywałam w Jagiellonce, a także w czytelni w pałacu Pod Baranami. W końcu egzamin poprawkowy zdałam i potem już studiowanie potoczyło się bez komplikacji, a dyplom magisterski uzyskałam z bardzo dobrym wynikiem.

W.Sz.: Na pierwszym roku studiów zawsze był duży stres z egzaminami, bo tego roku nie można było powtarzać. Z kolei wspomniany podręcznik był pełen banałów i miejscami tak śmieszny, że jego fragmenty służyły czasem jako teksty w kabarecie Pod Baranami.

R.U.: Ale studentom nie było do śmiechu, gdy nie mogli kontynuować studiów oblewając egzamin poprawkowy, potem jeszcze tak zwany komisyjny, a tak się zdarzało. Mnie od początku, zanim jeszcze poznałam inne możliwe kierunki, zainteresowała psychologia kliniczna. Fascynujące były odbywające się w klinice przy ul. Kopernika wykłady z psychiatrii, które prowadził doktor Roman Leśniak, a potem też profesor Maria Orwid. Psychopatologię, która nas wszystkich, przyszłych klinicystów, niezwykle pasjonowała, wykładał Janusz Pałczyński. Na bardzo ciekawe seminarium magisterskie trafiłam do osoby, która miała głęboko kliniczne spojrzenie, do pani Heleny Sawickiej.

W tym czasie interesowałam się także zjawiskami społecznymi. Nie bez znaczenia było, że końcówka moich studiów przypadła na stan wojenny. Moim pierwszym pomysłem na pracę magisterską było szukanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego jedni studenci zapisują się do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, czyli SZSP, a inni do Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS). Miałam taką hipotezę, że prawdopodobnie mają inną osobowość. Chciałam właśnie te różnice indywidualne badać, ale nikt się nie chciał podjąć prowadzenia tego tematu. Dydaktycy tłumaczyli, że to jest zbyt świeży temat, drażliwy i przez to trudny do zbadania. I wtedy wybrałam temat o inności, a dotyczył on emocjonalnych problemów, które przeżywają dzieci dyslektyczne. Z taką hipotezą, że nawet jeśli dysleksja jest zdiagnozowana, to przez to, że na zewnątrz jest niewidoczna, nie jest rozumiana. I stąd dzieci te mają różne problemy emocjonalne. Była to niejako kontynuacja zaciekawienia innością i odrębnością, bo pisałam o tym także na maturze, powołując się m.in. na książkę Jamesa Baldwina, która mnie wtedy poruszyła — pisał o relacjach, miłości między ludźmi różnych ras i płci, przeżyciach psychicznych i duchowych, a ja buntowniczo broniłam prawa do inności i miłości w świecie pozorów i pseudowartości.

W.Sz.: Okazuje się, że trzeba znów zaangażować się w tę obronę. Ale wracając do tamtych czasów: jaki był klimat na twoim roku psychologii, czy ludzie byli zżyci ze sobą? Bo trudne w sensie społecznym i politycznym czasy bardzo zbliżają ludzi.

R.U.: Miałam dużo przyjaciół w czasie studiów. Do tej pory spotykamy się z koleżankami raz do roku w kilkunastoosobowej grupie. Czasem zmienia się skład, ktoś przyprowadza na nowo odkrytą po latach koleżankę. Raz zaprosiłam koleżkę, ale ta zmiana formuły się nie przyjęła, widocznie nasza grupa jest zbyt jednorodna, feministyczna. Wracając do studiów — pamiętam dobrze drugi rok, kiedy to najwięcej działało się we wtorki i czwartki, gdy mieliśmy zajęcia z dr Marią Kielar z psychologii rozwojowej. Była postrachem dla studentów, gdyż była bardzo wymagająca, podsuwała masę tekstów do czytania. Na wtorkowych zajęciach prowadziliśmy obserwację uczestniczącą w żłobkach, przedszkolach, a następnie uczestniczyliśmy w seminarium z Piageta, na którym omawialiśmy wyniki

obserwacji. Dużo dyskutowaliśmy i ta wiedza została mi na długo, i wciąż się przydaje. Pani profesor Kielar nawet polubiła nasz rok i na zakończenie zajęć zostaliśmy zaproszeni do jej domu na herbatę.

W.Sz.: Kto był dla ciebie wtedy największym autorytetem, bo na studiach i na początku pracy ma to bardzo duże znaczenie. A ty zaczęłaś pracować jeszcze na studiach. I to z wielką energią i ochotą.

R.U.: Już na piątym roku studiów miałam okazję podjąć pracę w oddziale młodzieżowym w Klinice Psychiatrii w Krakowie. Był to wprawdzie wolontariat w zastępstwie za koleżankę, Agatę Siudak, ale codziennie docierałam na oddział, który ze względu na remont kliniki mieścił się w Kobierzynie, dokąd z moich Mydlnik jechałam półtorej godziny i to pięcioma środkami lokomocji. Pomyśl, jaką musiałam mieć silną motywację, żeby codziennie tak podróżować i się nie spóźniać! Starłam się zdążyć na Kapelanę, na pracowniczy autobus jadący do Kobierzyna. Autobusy miejskie jeździły rzadko i niezbyt punktualnie, nie to co teraz. Co do autorytetu psychologicznego z pewnością była nim doktor psychologii Wanda Badura, od niej uczyłam się najwięcej. Zawsze dodawała mi odwagi, wspierała mnie w trudnych sytuacjach, była opiekunką moich specjalizacji. Ona kierowała zespołem psychologów w oddziale młodzieżowym, gdzie ostatecznie pracowałam przez 7 lat. Miałam propozycję od Ryska Izdebskiego, aby przejść na oddział dziecięcy, bo taki też wtedy był. Wydawało mi się wtedy jednak, że ja z dziećmi nie bardzo potrafię pracować, że praca taka byłaby dla mnie za trudna emocjonalnie.

W.Sz.: Był to niełatwy, ale ciekawy czas w Polsce, czas walki o wolność, czas przełomu. I równoległe w psychiatrii, w Klinice Dzieci i Młodzieży, czas pełen napięcia, wprowadzania nowego postępowania wobec pacjentów, uwzględniającego ich prawa.

R.U.: Tak, było dużo dyskusji na ten temat, dużo działań przeciwstawiających się opresyjnym metodom stosowanym wobec dzieci w oddziale — karaniu ich, wwiązaniu, nadmiernemu medykaliwowaniu. Staraliśmy się rozumieć ich potrzeby. Walczyła o to profesor Maria Orwid, a także Basia Józefik (teraz profesor) i Rysiek Izdebski, którzy zastanawiali się, jak to rozumienie uzyskać. Stosowali niekiedy bardzo niekonwencjonalne działania. Nasi psychiatrzy kierujący oddziałem młodzieżowym — profesor Jacek Bomba, doktor Kazimierz Pietruszewski, doktor Ewa Jaworska-Franczak — mieli holistyczne spojrzenie na człowieka. Po pracy organizowaliśmy grupy dyskusyjne. Środowisko się konsolidowało w opozycji do władzy. Czytaliśmy literaturę podziemną, z Wandą Badurą, Kaziem Pietruszewskim, Ewą Domagalską, Janem Piekło i innymi spotykaliśmy się regularnie. Zapraszaliśmy na spotkania osoby zajmujące się odmiennymi dyscyplinami. Na początku mojej pracy — przez 1,5 roku jeździłam też z Wandą Badurą co miesiąc na Uniwersytet Warszawski na seminarium z psychoanalizy dziecka prowadzone przez profesor Marinę Zalewską i profesor Annę Czownicką.

A poza tym praca w oddziale stacjonarnym była niezwykle rozwijającym profesjonalnym doświadczeniem, przez kontakt z różnego rodzaju zaburzeniami, najczęściej ciężką psychopatologią, głęboką depresją, ostrymi psychozami. Musiała być ciężka, skoro hospitalizacja pacjenta w wieku rozwojowym była wdrażana tylko wtedy, gdy zachodziła tego bezwzględna konieczność. Ordynatorem był profesor Jacek Bomba, który wrócił wtedy ze Stanów, przywiózł nowe doświadczenia i wszystkich oczarowywał wiedzą, kulturą, obyciem. Realizowaliśmy duży program badawczy na temat depresji młodzieżowej,

w który włączeni byli wszyscy. Byliśmy zaangażowani nie tylko formalnie, ale i osobiście zaciekawieni, poszukujący.

W.Sz.: Jaka była atmosfera i relacje między pracownikami oddziału, z kim najbliższą współpracowałaś albo byłaś bliżej zaprzyjaźniona?

R.U.: Blisko współpracowałam z Kazikiem Pietruszewskim, który potem mówił, że dlatego mamy takie dobre małżeństwo, bo to on mnie wydał za mąż, na imprezę weselną dla nowożeńców proponując swoje mieszkanie. W zespole pracowała też jako psychoterapeutka Ewa Domagalska, ważna dla mnie osoba, która potem tworzyła liceum przykliniczne i kierowała zespołem nauczycieli. W ogóle wtedy kładło się duży nacisk na relacje w zespole. Profesor Marii Orwid bardzo zależało na tym, żeby każdy czuł się ważny, potrzebny. Zabiegała o to, aby wszystkie aktywności członków zespołu miały walor terapeutyczny. Czyli żeby i pielęgniarki, i pedagodzy zdobyli psychoterapeutyczne umiejętności. To był okres fascynacji zebraniem społeczności, które spełniały ważną rolę terapeutyczną i wychowawczą. Podczas tych cotygodniowych zebrań głos mieli przede wszystkim pacjenci, czyli młodzież, i był to głos ważny, słuchany. W zespole terapeutycznym mieliśmy poczucie wspólnoty.

W.Sz.: Jak na początku wyglądała twoja praca, co konkretnie robiłaś?

R.U.: Gdy dostałam etat, już po dwóch tygodniach musiałam poprowadzić grupę młodzieżową. Wcześniej, podczas rocznego wolontariatu czy stażu, brałam udział w spotkaniach grupy, ale jako pracownik etatowy musiałam to robić samodzielnie. Zostałam ze stażystką, którą na szczęście była Marynka Rostworowska, lekarka z oddziału dorosłych. Wprawdzie ona też nie czuła się zbyt pewnie i kompetentnie, ale była odważna i aktywna. To był czas, gdy wszystko dla mnie było tak gęste emocjonalnie, że po pracy nie byłam w stanie niczego zrobić w domu, wchodziłam tylko do wanny i rozmyślałam. Z powodu tego zaangażowania w pracę w oddziale, w terapię, odłożyłam obronę pracy magisterskiej. A też miałam ambicję, żeby ją dobrze napisać. Potem przyszła dalsza nauka, a mianowicie odbywanie staży do specjalizacji klinicznej. Dr Wanda Badura bardzo do niej zagrzewała, z kolei profesor Maria Orwid zachęcała do dalszego rozwoju i zdobywania umiejętności w zakresie psychoterapii. Po wymaganych stażach w różnych oddziałach szpitalnych zrobiłam najpierw specjalizację z psychologii klinicznej pierwszego, a potem drugiego stopnia i jestem dumna, że na moim dyplomie specjalizacyjnym jest adnotacja „egzamin zdany z wyróżnieniem”.

Chciałabym w tym miejscu wspomnieć o znaczących dla mnie osobach — Jonie Lange i jego żonie Elin Odberg, których poznałam przy okazji mojego pierwszego wystąpienia na konferencji organizowanej przez Sekcję Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w Zaborze k. Zielonej Góry (w 1984 roku!). Prezentowałam tam moją pracę magisterską. Jon jest psychiatrą dziecięcym z Oslo, Elin była pedagogiem, pracowała z pacjentami psychiatrycznymi (zmarła na początku tego roku). Spotykałam ich potem w Polsce i w Paryżu, zaprosili mnie także na konferencję do Oslo. Przyjaźń z nimi, teraz już tylko z Jonem, trwa do tej pory.

W.Sz.: Po kilku latach pracy w oddziale przeszłaś do pracy w Ambulatorium Terapii Rodzin, które już wtedy istniało i, o ile wiem, przejściowo mieściło się przy ul. Skarbowej. Czy chciałaś tej zmiany? Jak się ona dokonała?

R.U.: Dostałam propozycję od Basi Józefik, która z inspiracji prof. Marii Orwid utworzyła Ambulatorium Terapii Rodzin. Powstało ono równocześnie z Zespołem Hospitalizacji Domowej. Do zespołu ambulatorium dołączyłam, gdy cały oddział wrócił już na Kopernika. Tu zaczął się bardzo ważny, całkowicie nowy etap w mojej pracy: inne podejście do objawu, do leczenia, nowe metody terapii. Bardzo zaangażowałam się w ich tworzenie, wdrażanie. Równocześnie uczyliśmy się nowego podejścia, uczestnicząc w dyskusjach, wewnętrznych seminariach. Oprócz naszego zespołu brał w nich udział Zespół Hospitalizacji Domowej Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży, a także zespół Zakładu Terapii Rodzin, koledzy z Oddziału C, Kliniki Psychiatrii Dorosłych i Oddziału Dziennego mieszczącego się przy placu Sikorskiego, gdzie często odbywały się spotkania. Z Warszawy przyjeżdżała prof. Irena Namysłowska wraz ze swoim zespołem (Anną Siewierską, Magdaleną Borkowską). Byli jeszcze Włodek Kwasiborski i Włodek Banaś, Iwona Piwowarczyk, pracujący w Krakowskim Ośrodku Terapii. Wiele osób brało udział w tych spotkaniach. Dzięki Marii Orwid zacieśniała się nasza współpraca z ośrodkami za granicą. Jeździliśmy na konferencje, staże. Terapeuci rodzinni przyjeżdżali do nas na wykłady i warsztaty — np. Helm Stierlin, Gianfranco Cecchin, Tom Andersen, Don Bloch, Lyman Wynn i inni. Klaus Deissler był w Krakowie chyba 10 razy i terapeuci rodzinni brali udział w jego seminariach. Ja niejednokrotnie tłumaczyłam jego konsultacyjne sesje z języka niemieckiego. Wiele działało się w ramach partnerstwa ze szpitalami w Niemczech, w przypadku kliniki był to szpital Bethel w Bielefeld. Muszę tu powiedzieć, że dzięki profesor Orwid ja też co roku wyjeżdżałam na konferencje za granicę, na tzw. Zachód — do Berlina, Monachium, Paryża, Sorrento — w czasach, gdy nasze paszporty przechowywała milicja. Również pani profesor zorganizowała międzynarodową Konferencję Terapii Rodzin w Krakowie, podczas której nawiązaliśmy nowe kontakty. Poznałam wtedy Polaka mieszkającego w Szwajcarii, psychologa Wojtka Romanowskiego, i psychiatrę Raymonda Traube, którzy potem zaprosili mnie na staż do Neuchâtel. Tym, co mnie tam zaciekawiło, było połączenie sektora zdrowia i oświaty — tam problemami emocjonalnymi dzieci zajmowało się Centre Médico-Pedagogique. Taki model opieki był nieznan w Polsce, a szkoda, bo może uniknęlibyśmy kryzysu w psychiatrii dzieci i młodzieży.

W.Sz.: Tak, to było dla ciebie, dla nas wszystkich, ciekawe, wspaniałe wyzwanie. Pamiętam seminaria z Deisslerem, które tłumaczyłaś, podczas których konsultowane były rodziny pacjentów. Nie było to łatwe, gdyż trzeba było dużego terapeutycznego, nie tylko językowego zrozumienia sytuacji. Postrzegam ciebie jako osobę z ogromnym wyczuciem, a równocześnie bardzo odważną, nie krępującą się, że czegoś możesz nie zrozumieć, tylko dążącą do wyjaśnienia, domknięcia sytuacji. Jesteś otwarta i zawsze gotowa przyjąć wszystkie uwagi, a potem je wykorzystać w pracy. A przecież komentarze od niektórych superwizorów nie zawsze są pozytywne. Zastanawiam się, skąd u ciebie ten upór i odwaga.

R.U.: Nieraz zastanawiałam się, co mnie tak gna. Taka jest moja mama — nie rezygnuje łatwo. Przeszła przez bardzo dużo życiowych trudności, a nie poddała się, szukała rozwiązań. Tata był raczej spokojny, pogrążony w lekturze i projektach. Ja momentami mam tę jego część refleksyjną, powiedziałabym psychasteniczną. Ale więcej jednak mam z mamy, która jest zawsze aktywna. Pomyślałam sobie: jak to nie wybudować domu, dziadek zbudował, rodzice zbudowali.

W.Sz.: I właśnie siedzimy i rozmawiamy w waszym własnym, pięknym domu z ogrodem i fantastycznym widokiem na łąki.

R.U.: Tak, przekazy generacyjne są bardzo silne. Pamiętam, jak opowiadałam babci ze strony mamy, że mam pracę, że jest taka ważna dla mnie. I ona skomentowała to z uznaniem „w domu tego nie wysiedzisz”.

W.Sz.: Wróćmy do pracy w klinice, w której w sumie przepracowałaś 35 lat, z czego 28 w Ambulatorium Terapii Rodzin. które właśnie wtedy, gdy zaczynałaś w nim pracować, wprowadzało do psychoterapii nowe podejście. Co cię do niego przekonało? Jak wyglądała ta praca?

R.U.: W ATR pracowaliśmy od początku systemowo. W tej modalności przekonywało mnie rozumienie problemu — kiedy pojawia się jakaś trudność, choroba, dotyczy ona całego systemu rodzinnego; objaw nie jest dysfunkcją jednego członka rodziny. Zwłaszcza gdy chodzi o dzieci czy młodzież konieczne jest włączenie innych członków rodziny w proces terapii. Wynika to z faktu, że symptom wpływa na cały system rodzinny. I odwrotnie — określone zachowania i postawy członków rodziny rozwijają system, który podtrzymuje problem. Ponadto każdy z członków rodziny jest włączony w inne systemy — poszerzonej rodziny, szkoły, w inne grupy społeczne, co trzeba uwzględnić, by zrozumieć funkcje objawu. Także terapeuta staje się częścią systemu problemowego. Zapraszaliśmy wszystkich członków rodziny z przekonaniem, że ich spostrzeżenia i to, co przeżywają pomoże wszystkim zrozumieć, jaką funkcję pełni objaw — czy utrzymuje status quo, blokuje rozwój, na przykład przejście do kolejnej fazy cyklu życia rodzinnego, czy też „wymusza” zmianę. Wspólnie z rodziną przyglądaliśmy się, co jest korzystne i co każdy może zrobić, by objaw stał się niepotrzebny. W terapii indywidualnej potrzeba czasem dłuższego czasu, by zauważyć szerszy jego kontekst. Ponadto rodzina może blokować pojawiające się zmiany, powstrzymywać je, choćby z lęku, nie wiedząc, co się dzieje, nie rozumiejąc. Natomiast uczestnicząc w terapii członkowie rodziny zmieniają się wspólnie, inaczej kształtują wzajemne relacje i wspierają zmiany. Terapia systemowa jest utożsamiana z terapią rodzinną, podczas gdy podejście systemowe jest stosowane także w terapii indywidualnej.

To, co mnie zachwyca w terapii systemowej, to tzw. wieloobraz. Każdy z członków rodziny przychodzi ze swoją „mapą”, którą zaczyna ujawniać już na pierwszej konsultacji w odpowiedzi na pytanie, jak wyjaśnia sobie, że dana trudność wydarzyła się w ich rodzinie, ich dziecku, właśnie teraz. I te rozumienia spotykają się z hipotezami terapeuty, który pozostając zaciekawionym, tworzy przymierze z rodziną i zaprasza wszystkich do wspólnego poszukiwania rozumienia, znaczeń, sensu. Badamy dynamikę symptomu, poruszając się w terażniejszości, ale też powracając do przeszłości, do wczesnej relacji rodziców i dziecka, relacji z rodzeństwem. Ale i wcześniej, bo niekiedy problem zaczyna się jeszcze przed urodzeniem dziecka — ma znaczenie to, jak było przyjęte, jakie nadzieje były w nim pokładane, do czego było „delegowane” (pojęcie H. Stierlina), w jakim momencie życia rodziny się pojawiło, jakie traumy czy przekazy niesie z poprzednich pokoleń. Ilość możliwych powiązań kontekstualnych jest niezliczona, więc historia powstania objawu nie jest powtarzalna, nie daje się ułożyć w stałe schematy i dlatego ta praca jest tak ciekawa. Pamiętam rodzinę, w której identyfikowany pacjent, nastolatek z zespołem natręctw, urodził się w momencie, gdy matka miała zamiar rozwieść się z jego ojcem i ta

myśl towarzyszyła jej przez wszystkie lata dojrzwania chłopca. Negatywnie spostrzegła syna, mówiła, że już w brzuchu był agresywny, bo kopał ją. Zazwyczaj w wyniku terapii następuje dekonstrukcja przekonań rodziny i „mapa”, z jaką przyszli zmienia się. W tym wypadku z opisu symptomu jako ciężkiego zaburzenia i złośliwego charakteru syna powstał inny — dzięki objawom nastolatek utrzymywał małżeństwo rodziców, gdyby był zdrowy, nie wymagał pomocy i stawał się dorosły, jego matka mogłaby rozwieść się z ojcem.

Co jest ciekawe w systemowej, cyrkularnej diagnozie i pracy z rodzinami, w których objaw występuje u dzieci i młodzieży, to to, że trzeba uwzględniać ich poziom rozwoju, stan psychiczny i całokształt sytuacji, w jakiej dziecko się rozwija. Uwzględniamy tzw. piętra systemowe — biologiczne, emocjonalne, w tym wczesne więzi, czynniki intrapsychiczne, relacyjne (rodzinne i rówieśnicze) czy inne czynniki społeczne i kulturowe. Na przykład tworząc hipotezę o braku bezpiecznego przywiązania albo znaczeniu konfliktu małżeńskiego dla dziecka, nie możemy abstrahować od czynników biologicznych, jak waga dziecka z zaburzeniami odżywiania czy mniejsze możliwości poznawcze dziecka z niepełnosprawnością czy FASD.

Dość szybko zauważyłam, że łatwiej i chętniej pracuję z rodzinami tzw. dośrodkowymi, gdzie problemem jest silne związanie i trudność w uzyskiwaniu niezależności czy odrębności w procesie separacji-indywiduacji. Podobnie w terapii par — łatwiej pracuję nad wychodzeniem z fuzji, pokazaniem, że niezależność światów partnerów nie jest zagrażająca dla związku. Trudniej mi tam, gdzie brakuje więzi, jest odrzucenie, a nawet wrogość.

W.Sz.: Tak, z tym zawsze jest trudniej pracować. Miałaś okazję poznać kolejne nurty terapii rodzin. Obserwowałaś jej rozwój, wyodrębnianie się nowych jej szkół. Jak się w tym czułaś? Które z tych nurtów były ci bliskie?

R.U.: Kiedy rozmawialiśmy o tym w zespole, a Basia Józefik na jednej z ostatnich konferencji przytaczała jako anegdotę pewne wspomnienie. Mieliśmy taki rok, w którym postanowiliśmy pracować, trzymając się ściśle zasad jednego nurtu terapii rodzinnej. Chodziło o szkołę mediolańską. A więc robiliśmy przerwy w trakcie sesji, przygotowywaliśmy pisemne interwencje, odczytywaliśmy je rodzinie, był też telefon za szybą dla superwizora. Pani profesor Orwid, obserwując naszą pracę, wyrywała sobie włosy z głowy i nawet powiedziała, że nie będzie przychodzić nas superwizować, dopóki nie zaczniemy z ludźmi rozmawiać. I to się w końcu stało [*śmiech*]. W tych początkach bardzo przestrzegało się settingu: jeśli nie przyszła cała rodzina, sesja się nie odbywała i rodzina dostawała następny termin. To się zmieniło wraz z nadejściem konstrukcjonistycznego myślenia. Stosowaliśmy zasadę, że pracujemy z tym, z czym ludzie przychodzą. Takie podejście do terapii jest mi bliższe. Teraz z dużo większą swobodą potrafię integrować różne nurty. Kiedyś z każdą rodziną pracowaliśmy nad przekazami transgeneracyjnymi, tworząc genogramy. Teraz trochę to się zmienia, chociaż wciąż jest praktykowane. Nadal ważnym narzędziem są pytania cyrkularne, ale też w większej mierze prowadzimy rozmowy eksternalizujące czy rozmowy o wyjątkach.

Gdy założyłam w końcu własny gabinet, na co przez wiele lat nie decydowałam się, myślałam, że nadal będę przyjmować rodziny z pacjentami młodzieżowymi. Okazało się, że zgłasza się do mnie więcej osób dorosłych na terapię indywidualną i terapię par. I borykają się z bardzo różnymi problemami.

W.Sz.: Dla mnie właśnie fascynująca jest ta różnorodność, że w gabinecie zgłaszane są rzeczywiście różne problemy, całe ich spektrum, o różnym stopniu ciężkości, głębokości.

R.U.: Mam wrażenie, że gdy ktoś ma lżejszy problem, idzie do gabinetu prywatnego, a do kliniki przychodzą pacjenci z trudniejszymi sprawami. Nasz zespół prowadził przede wszystkim terapię pacjentów z zaburzeniami odżywiania; 80% rodzin zgłaszających się do nas borykało się z tym problemem. Rozwinęliśmy wokół tego programy badawcze. Basia Józefik obroniła doktorat z tej tematyki, a potem habilitację. Z czasem zaczęliśmy być rozpoznawani w środowisku przez pryzmat leczenia zaburzeń odżywiania. Są to trudne rodziny, też w sensie indywidualnym, graniczna psychopatologia. Miałyśmy duże wsparcie psychiatrów z oddziału albo pracujących w naszym zespole, którzy robili diagnozę różnicową, żeby stwierdzić, czy dziecko zgłoszone do nas na terapię nie jest w psychozie. W waszym Zespole Leczenia Domowego było trochę inaczej, ale też przyjmowane były rodziny trudne, niekiedy z przemocą, wieloprotokowe. Radzenie sobie z obiema sytuacjami wymaga oparcia w zespole. Gdy zbliżałam się do końca pracy w ATR, zamierzałam wycofywać się stopniowo, ciężko mi było rozstać się z zespołem, ze wspólnym naradzaniem się, wspólnym myśleniem, z rodzinami w terapii. Z drugiej strony tej pracy zespołowej było coraz mniej, bo niestety pogoń za punktami kontraktowymi jest taka, że w ostatnich latach nie było wiele okazji, by wymieniać myśl. Nadal są umawiane rodziny, pacjenci, godzina za godziną. Stawia się na samodzielność terapeuty, a wychodzi z tego samotność, która bardzo obciąża w tej pracy. Miałam szczęście pracować w dobrym, inspirującym zespole. Dużo zawdzięczam moim koleżankom i kolegom – Barbarze Józefik, Małgorzacie Wolskiej, Grzegorzowi Iniewiczowi i tym, którzy byli z nami krócej albo dołączyli później: Magdzie Zdenkowskiej-Pileckiej, Maciejowi Pileckiemu, Marii Augustyn, Monice Janczurze. A w ostatnich dwóch latach dołączyli młodzi koledzy: Bartek Taurogiński, Magda Pozarzycka, Cezary Barański. Na pewno mieliśmy szczęście pracując pod superwizją profesorów — Marii Orwid, Jacka Bomby, Bogdana de Barbaro.

W.Sz.: Miałas zawsze wiele pokus, żeby spróbować czegoś innego, niż praca terapeutyczna z pacjentami. Czegoś trochę z pogranicza psychologii i socjologii, a czasem już całkiem poza nimi. Jak wspomniałaś, aktywnie zajmuje się tym twój mąż socjolog.

R.U.: Cezary lubi swoją pracę. Jest współwłaścicielem firmy Centrum Doradztwa Strategicznego, które realizuje ciekawe projekty badawcze, doradcze i szkoleniowe. Teraz na przykład zajmuje się konsultacjami społecznymi w planowaniu przestrzennym, budowaniem partnerstw wokół ośrodków pomocy społecznej i „organizowaniem społecznościowym” czy też projektami badawczymi z seniorami. Jeden z naszych poważniejszych sporów małżeńskich dotyczył tego, że będąc na urlopie wychowawczym, już po dwóch latach myślałam o powrocie do pracy w klinice, obawiając się, że wypadnę z zawodu. Potem trochę tego żałowałam, bo piękny czas macierzyństwa tak szybko mija, szkoda, że nie da się do niego wrócić, a dziecko szybko rośnie. Ale wróciłam na budżetową, więc niską pensję. Wtedy mój mąż uważał, że ze swoimi umiejętnościami powinnam pracować w ciekawym środowisku, zarabiając kilka razy więcej. Byłam bardzo oburzona, że nie docenia mojej pracy. Po kilku latach okazało się, że miał rację. To był czas, kiedy koledzy zaczęli otwierać gabinety prywatne, na co ja się nie zdecydowałam. Pani profesor namawiała nas na doktoraty i miałam dylemat, czy się podjąć jego pisanie, czy bardziej zaangażować się w rodzinę. Wybrałam to drugie i, chcąc mieć bardziej elastyczny czas pracy, założyłam działalność gospodarczą i rozpoczęłam pracę w firmie szkoleniowo-doradczej Nowe Motywacje, gdzie spotkałam zresztą kolegów terapeutów. Przeszłam odpowiednie szkolenie i tu się zaczęła

historia rozwoju moich umiejętności trenerskich, prowadzenia szkoleń według nowych wymogów. Jeszcze niedawno zdarzyło mi się robić Assessment Center dla kandydatów na dyrektorów dużych międzynarodowych firm. Kolejno pracowałam w firmie krakowskiej (Nowe Motywacje), potem współpracowałam z firmą warszawską (Grupa Training & Consulting), a następnie mój mąż znalazł ogłoszenie, że firma ITO z Wiednia otwiera swoją filię w Polsce i podjęłam z nimi współpracę w roli trenera i konsultanta badającego potencjał pracowników. Trwa ona już 17 lat. Od początku spodobało mi się rozwinięcie nazwy: Individuum — Team — Organisation. W tej firmie też jest systemowe myślenie. Firma szczerzy się tym, że jest międzynarodowa, ma filie w innych krajach, w Niemczech, Czechach, Rumunii i Serbii. Dawała możliwość wymiany tzw. know-how, szkolenia się w diagnozie czy wdrażaniu procesów (na przykład przeszłam cykl szkoleń z zarządzania zmianą). A przede wszystkim nauczyłam się tam warsztatu, jak prowadzić szkolenia i wykorzystywać różne formy pracy. Lubiłam to wymyślanie, tworzenie ćwiczeń i zadań. W pracy szkoleniowej częściej widoczny jest szybki efekt (może powierzchowny, przejawiający się zadowoleniem uczestników), na który w psychoterapii musimy długo czekać. Uważam, że dobrze mi się spinały te dwie różne ścieżki życia zawodowego. Wprawdzie są to inne obszary — jeden związany z cierpieniem, chorobą, drugi z zadaniami i pracą — jednak mają wiele wspólnego. W pracy dla organizacji doceniano moją wiedzę psychologiczną i doświadczenie kliniczne, umiejętność pogłębiania rozumienia człowieka i relacji. W projektach rozwojowych przydatne były niektóre techniki, jak np. stawiane pytania cyrkularne. W pracy terapeutycznej natomiast wykorzystywałam obserwacje, z czym mierzą się ludzie, by rozwijać swoje umiejętności, realizować zadania, kierować zespołami. Czasem jednak słyszałam opinie, że nie jestem wystarczająco zaangażowana ani tu, ani tam. Ja uważałam przeciwnie, że była z tego korzyść dla wszystkich elementów tego systemu — zyskiwałam ja, moi pacjenci i kursanci. Ta druga praca, w biznesie, to też nie bajka i luz. Pamiętam, jak mieliśmy wprowadzić — powiem językiem biznesowym — nasze „USP — unique selling proposition”, czyli coś, co nas wyróżnia, nazywany Qualification Workshop, co było odmianą Development Center i przez co musieliśmy sami przejść podczas intensywnego szkolenia w Wiedniu. Jednym z zadań było odegranie scenki, w której sprzedajemy szkolenie. Pytam Andreasa, który przypadł mi w parze: „jak się umawiamy”, a on na luzie — „potem zobaczymy”. I wyszło średnio. Nauczyło mnie to, że zawsze trzeba rzetelnie się przygotowywać, co oczywiście wymaga wysiłku. Inne zadanie polegało na tym, że dostawało się nagrany rozmowę przełożony — podwładny i trzeba było powiedzieć, co ten menedżer robi dobrze, jaki jest jego potencjał, a co powinien rozwinąć. Słuchałam tego i niewiele rozumiałam. Potem okazało się, że oni mówili jakimś dialektem, którego nie rozumiał nawet kolega, który pracował w Szwajcarii. Odetchnęłam z ulgą. W sumie sprzedaż nie była moją mocną stroną i nie myślałam, żeby rozwijać ten swój potencjał.

W.Sz.: Tak, ale masz ogromny potencjał dotyczący umiejętności szkoleniowych i twoje zajęcia cieszą się dużym uznaniem. Pamiętam nasze wspólne szkolenie dla pracowników z MOPS-u, którzy uczyli się radzić sobie z różnymi problemami, z trudnym klientem, ale też relacjami w pracy, z porozumieniem między zespołami, z szefami, wypaleniem zawodowym i innymi. Obserwowałam wówczas, jak wykorzystujesz swoje umiejętności interpersonalne, a także koncepcyjne, jak ustawić tematy, jakie dobrać zadania dla nich etc. Podziwiałam twoje szybkie i celne diagnozowanie trudności w funkcjonowaniu tych

osób w grupie. Przez swoją otwartość i życzliwość dla ludzi, a także naturalną ciekawość, budzisz zaufanie. Uważam, że przyczyniło się to do ujawniania przez uczestników trudnych spraw, ich prawdziwych potrzeb. Masz dużą uważność, żeby niczego nie zaniedbać, nie zostawić. Powstrzymywałaś mnie czasem przed podjęciem następnego wątku, aby dokończyć poprzedni. Myślę, że ta uważność jest twoją naturalną cechą osobowości. Dodatkowo pewnie rozwijana była na przykład w pracy, gdy byłaś wrzucana na głęboką wodę — tak jak w młodzieżowej grupie. Albo już później w pracy w Ambulatorium Terapii Rodzin, gdy z dużym zaangażowaniem prowadziłaś stażystów, uczyłaś ich w nowoczesny sposób, poprzez dyskusje, polemiki, omawianie ich obserwacji zza szyby. Zawsze poświęcałaś temu dużo czasu. Sądzę, znając ciebie, że czułaś się odpowiedzialna za stażystów i ta odpowiedzialność dotyczy też naszych kursantów czy twoich superwizantów.

R.U.: Mam prawdziwą satysfakcję, gdy słyszę informację zwrotną od uczestników kursów i superwizantów, że to, co im przekazuję, jest dla nich przydatne. Staram się przywiązywać do tego wagę i pilnować, aby każdy z uczestników miał okazję aktywnie uczestniczyć w zajęciach. A to dążenie do struktury, uporządkowania, o którym wspominaś, kiedyś okazało się dla mnie zgubne, bo zrobiłam coś podobnego wobec Marysi Orwid, gdy prowadziłyśmy wspólnie szkolenie z podejścia strukturalnego w terapii rodzin. Nieraz mi potem to „wypominała”.

W.Sz.: Teraz zaczął się nowy etap w twoim życiu. Jesteś na emeryturze, a jednak pracujesz. Przypuszczam, znając ciebie, że będzie to jeszcze bardziej niż do tej pory wzmocniona aktywność. Czy tak?

R.U.: Wydaje mi się, że i Cezary, i ja będziemy pracować zawsze. O ile nam się coś poważnie nie zepsuje, tak że nie będziemy mogli myśleć albo czuć. Moje koleżanki, które prowadziły swoje firmy produkcyjne albo pracowały w innych zawodach — architektki, scenografki, pytają mnie, czy muszę tak dużo pracować. Odpowiadam: nie muszę, ale chcę. Rzeczywiście mam dużo systematycznych aktywności, a wśród nich prowadzenie psychodynamicznej grupy terapeutycznej dla pacjentów nerwicowych w Pro Psyche (Ośrodek Zdrowia Psychicznego NZOZ), co mnie bardzo wciągnęło. Przyjmuję pacjentów we wspomnianym już własnym gabinecie, superwizuję psychoterapeutów oraz zespoły, na przykład w Warszawie w Szpitalu Dziecięcym na Niekłańskiej. Oprócz tego prowadzę zajęcia na kursach z psychoterapii i warsztaty w ramach różnych projektów, które tworzę lub współtworzę. Wspecjalizowałam się w pracy z rodzinami adopcyjnymi i pieczy zastępczej oraz osobami, które te rodziny wspierają terapeutycznie. W ostatnich latach wygrałam kilka projektów unijnych, do których zaprosiłam moich młodszych kolegów. Tematy tych szkoleń to na przykład wykorzystanie genogramu przy kwalifikacji kandydatów na rodziców adopcyjnych, przygotowania dziecka do adopcji, zaburzenia emocji, zachowania i rozwoju u dzieci adoptowanych. Ciekawe było kilkumiesięczne przedsięwzięcie nazwane kursem terapeutycznym dla rodziców adopcyjnych i ich dzieci, w którym mogliśmy w praktyce wykorzystać formę terapii wielorodzinnej. Zamierzamy opisać to doświadczenie.

W.Sz.: Zapraszam na łamy Psychoterapii, dla której rozmawiamy! Wspomniałaś, że oprócz pracy angażowało cię bardzo życie rodzinne. Już trochę wiemy o rodzinie pochodzenia, a także o mężu i waszych wspólnych działaniach. Czy mogłabyś coś więcej powiedzieć o kolejnej ważnej osobie, jaką jest wasz syn?

R.U.: Ogromnie dużo zawdzięczamy Piotrowi, gdyż mogliśmy towarzyszyć jego rozwojowi i dorastaniu. Bycie rodzicami bardzo nas wzbogaciło, uruchomiło w nas pokłady uczuć, ale było też niełatwym wyzwaniem. Na bazie swojego doświadczenia mogę z absolutnym przekonaniem mówić rodzinom, z którymi pracuję, że w różnych, bardzo trudnych sytuacjach z dziećmi zawsze można znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie. Ważne jest, aby nie uciekać od problemów, rozmawiać o nich, nie zrywać relacji. Dziś nasz syn jest dorosły, ma swoje zainteresowania i poglądy, nadal się rozwija, studiuje dwa kierunki.

W.Sz.: Na koniec chciałabym zapytać o twoje pasje. Moja obserwacja jest taka, że pierwszą z nich jest życie towarzyskie, jesteś osobą skora do kontaktów, do zabawy. Wydaje się, że wcale cię ono nie męczy, tylko wręcz ma walor pozyskiwania energii i jest formą odpoczynku.

R.U. [śmiech]: Tak, mamy różne grupy towarzyskie. Jeśli mam perspektywę nic nie-robienia w domu czy w ogrodzie, to jednak wybieram wyjście na spotkanie czy jakąś inną atrakcję. Jeśli ogród, to wolę coś wysiewać, podlewać, przycinać, a potem „bukietować”. Lubię zobaczyć ciekawą, dobrą wystawę. Lubię odwiedzić mamę i siostrę w Zakopanem, a przy okazji wejść na jakąś górę albo w dolinę, a także spotkać moje licealne koleżanki. Albo pojechać w inne miejsce świata (w tym roku jeszcze do Kosowa i Albanii). Lubię też gotować (sporo nauczyłam się dzięki francuskiej części naszej rodziny), a w szczególności wprowadzać do naszej polskiej kuchni różne przepisy spoza regionu, najchętniej włoskie i francuskie. Wymaga to czasem twórczej improwizacji, a efekt bardzo cieszy, bo jest nim zwykle zadowolenie rodziny i przyjaciół.

W.Sz.: Rzeczywiście pamiętam aplauz ze strony pewnego towarzystwa, gdy zapowiedziałaś, że u was na kolacji będzie podana ryba. Nawet trochę się zdziwiłam, skąd ta radość, ale Mitka de Barbaro stwierdziła, że chyba nie wiem, co to jest ryba Romy! Już teraz wiem. Może wyjaśnij czytelnikom, w czym leży tajemnica dobrego przyjęcia i pysznego dania. Czy to jest tylko kwestia smaku?

R.U.: Chodziło chyba o „rybę w papilotach”. Uznanie cieszy się też terrine de poisson, ale to nie miejsce, by się dzielić przepisami. Nie ma też ścisłego przepisu na atmosferę spotkania, chyba po prostu trzeba lubić kontakty z ludźmi. Wiesz to dobrze, bo „czwartkowania” u was w domu są bardzo miłe. Jeszcze jedno muszę powiedzieć. Jest coś, co zadziwia czasem moje koleżanki równolatki — że ja lubię być on-line, nawet na kajakach. W różny sposób z tego korzystam. Za niedużą kwotę mam Nielimitowany dostęp do literatury pięknej i non-fiction. Zaraz ci pokażę, jak to uzyskać. Zdjęcia, które robię aparatem i iPhonem przenoszą się same na mojego Maca, na kupno którego od dawna namawiał mnie syn. Mogę połączyć się z moją siostrą w Calgary. Mamy rodzinną grupę na WhatsAppie do wymiany bieżących informacji i zdjęć, a na tej grupie jest też mój 91-letni teść. Te elektroniczne nowinki służące nie tylko pracy, ale też usprawnianiu i wzbogacaniu codziennego życia zawsze mnie wciągały.

W.Sz.: Rozumiem, że jest to twoja kolejna pasja. Pozostaje mi tylko życzyć sobie i innym, żebyś tak szczerze, jak dotychczas dzieliła się nią i dzięki niej wszystkim, co masz, co odkrywasz, tym, co dla nas terapeutów jest najważniejsze. A Tobie życzę powodzenia w tym, co robisz. Bardzo dziękuję za rozmowę.